

Magdalena Łachacz

**„Marność, wszystko marność” – księga mądrości Gaimana\***

Wiem, że to oszustwo, ale to jedyna gra w mieście.  
Canada Bill Jones (s. 474)

Trudno napisać recenzję powieści, która ukazała się po raz pierwszy przeszło dekadę temu (2001 rok). Czas robi swoje, co znaczy, że zaciera ślady i sprawia, iż kolejne nakłady giną w mrokach podpiwniczeń antykwariatów, czekając na przemiał. Gorzej bywa wyłącznie w przypadku, kiedy książka nie tylko ukazała się dawno, ale ukazuje się wciąż, w nowych nakładach, gdyż od momentu pierwszego wydania egzemplarze znikają bezustannie w przepastnych umysłach czytelników, nie zaspokajając głodu na wiele pokoleń wprzód. Trudno napisać recenzję takiej powieści. Ta, o której muszę pisać, zebrała ponadto wiele nagród (Nebulę, Hugo, Bram Stoker Award). Panie i Panowie, za faktem, że praktycznie nikomu nie trzeba dziś przedstawiać Neila Gaimana, kryje się sukces *Amerykańskich bogów* właśnie (oraz *Nigdziebądź* i *Gwiezdnego Pyłu*, jak mniemam).

Przytaczanie zarysu fabuły jest zbędne. Wyrazisty wbrew swojemu przydomkowi Cień wraz z zatrudniającym go w czarnej godzinie życia przedsiębiorczym Panem Wednesday'em postanawiają wyruszyć na ostatnią krucjatę przeciwko nowym bogom – bożkom – zachodniej cywilizacji: Internetowi, Telewizji oraz, wydaje mi się, Służbom Specjalnym. By umrzeć w glorii chwały lub odnieść chwalebne zwycięstwo, nietypowa para potrzebuje pomocy starych sprzymierzeńców, co dla czytelnika oznacza jazdę bez trzymanki po lokalnych drogach Stanów Zjednoczonych wprost do miasteczek, w których wegetują zapomniani bogowie. Kogo tutaj nie ma! Bóstwa słowiańskie, nordyckie, egipski Anubis oraz Ibis, okrutne boginie, a nawet jedna nie do końca martwa kobieta.

\* Recenzja książki: Neil Gaiman, *Amerykańscy bogowie* [*American Gods*], przekł. Paulina Braiter, Warszawa: Wydawnictwo MAG 2016, ISBN: 978-83-7480-676-3, ss. 595.

Przyznać trzeba, że brakuje mi tu – i zawsze brakowało – reprezentacji Olimpu, ale i bez tego widać, że boski róg obfitości zaginął gdzieś u wybrzeży Północnej Ameryki. Pomysł, by zmusić niebiańskie istoty do człowieczeństwa, a następnie kazać im funkcjonować zgodnie z regułami okrutnej kapitalistycznej gospodarki, jest wyrazem światotwórczego geniuszu oraz dezynwoltury, do jakich kultura była zdolna tylko w beztróskich czasach ekonomicznej prosperity na najlepszym z możliwych światów: bez terroryzmu, gospodarczych kryzysów, nacjonalizmów, populizmów, a także, *last but not least*, postępującego społecznego wykluczenia wszystkich tych, którzy nie znaleźli się w puli dziedziców ogromnych fortun. Podczas gdy w nas narasta lęk, w powieści zaledwie „nadchodzi burza”. „Nadchodzi” jest zbawiennym słowem kluczem – urokiem Gaimanowskiej groźby jest to, że nikt jej nie urzeczywistnia; na bogów nie da podnieść się ręki, bo i po co? Mimo wszystko świat wydaje się barwniejszy, gdy przepełniony jest boską obecnością. Jeżeli bogowie padają martwi, to za sprawą oszustwa, które zostało przejrane, następnie zaś, zgodnie z zasadami dobrego westernu<sup>1\*</sup>, winnych dosięga kara zgodnie z tym, co można by nazwać dziejową sprawiedliwością.

To pocieszające. Można więc dziś czytać *Amerykańskich bogów* nostalgicznie jako obraz domu uchwycony w ostatniej chwili przed katastrofą. Czy dzisiaj bogowie mogliby wyłonić się z porannej mgły na jednym z zaułków zaśmieconych przedmieść? Współcześnie amerykańskie osiedla domków jednorodzinnych zaludniają raczej potwory z innych wymiarów lub zombie. w tym kontekście narracyjna radość rodząca się wraz z przemierzaniem dystansu niezmiernych – wydawałoby się – Stanów rozwija przed czytelnikiem mapę, którą chciałoby się zastąpić terytorium, o jakim wiemy dziś, że jest wylęgarnią chaosu. Nie przypadkiem duża część akcji umieszczona jest w miasteczku Lakeside, sielskiej miejscince ukrytej gdzieś wśród lasów, prosperującej wbrew rozsądkowi oraz doświadczeniu ościennych miejscowości pozwalającym swoim mieszkańcom ledwo wiązać koniec z końcem. Czy Lakeside nie sytuuje się gdzieś w Pasie Rdzy? Owszem.

Czy *Amerykańscy bogowie* są w takim układzie tekstem kartograficznym? z pewnością nie. „Ta książka jest powieścią, nie przewodnikiem” (s. 7), stwierdza przezornie Gaiman i nieprzypadkowo jest to zdanie otwierające utwór. Za rajską atmosferą Lakeside stoi mroczny bóg, podobnie jak za cudownym mitem Ameryki stoi mroczna historia. Powieść

<sup>1</sup> Czyli opowieści o (dzikim) Zachodzie.

stanowi raczej rodzaj legendy *à rebours* do mapy kulturowych wyobrażeń dotyczących tej części globu, co pozwala książkę wyciągnąć poza nostalgiczny nawias i wpisać w wypowiedź krytyczną. Pokazuje ona bowiem, że wspomniane wyżej wyobrażenia dotyczące przestrzeni symbolicznej Stanów Zjednoczonych budują obecnie świat niepokojąco podobny do oryginalnego, gdzie rzeczy i osoby zdają się podwojone, niczym widmowe halo. Podwojenie nie znaczy jednak, iż, podobnie jak tradycja, są one powidokiem martwego – są w rzeczywistości pozbawione śmierci i to w jeszcze większym stopniu niż Rzecz się miała za ich życia. Mijane przez Cienia domki na przedmieściach są wizerunkami domów pogrzebowych<sup>2\*</sup>.

Jeśli więc *Amerykańscy bogowie* są powieścią drogi, to drogi powrotnej do nawiedzzonego domu. Mimo tego otwieranie po raz kolejny, wraz z nowym wydaniem, lekko skrzypiących drzwi kryje w sobie nieodparty urok, zwłaszcza iż wewnątrz budynek nie uległ zniszczeniu. Niech sobie duchy zawodzą, a poltergeisty ciskają szklankami. Powieść zachowała dawną świeżość, pozostaje poza zasięgiem wszelkich ataków. Jej struktura zdaje się przejrzysta jak szlachetne szkło użyte do wykonania kosztownego lustra. Dzięki konstrukcji opartej na grze lustrzanych odbić lekturę można wpisywać wciąż w rozmaite porządki interpretacyjne, których różnorodność świadczy prawdopodobnie o tym, że do czynienia mamy raczej z kalejdoskopem rozbijającym obraz Stanów Zjednoczonych na wiele fragmentarycznych obiektów; że otrzymaliśmy zabawkę, jaką nie sposób się znużyć.

*Amerykańskich bogów* można w konsekwencji czytać również jako błyskotliwą wprawkę do współczesnej mitologii kulturowej. Na kartach książki ustala się nowy kanon, którego siła bierze się z rozbicia wszelkich panteonów oraz postawienia wszystkiego na jedną kartę, tj. na dziwaków zebranych razem w drużynę, jakiej istnienia nie zaakceptowałyby żadna boska logika. Być może więc jedyną wiarą wyznawaną przez literacką Amerykę jest niewdzięczny postmodernizm, po Flaubertowsku obecny wszędzie, lecz widzialny nigdzie. Jest to bóg ironicznej zgrywy i ludycznej trawestacji. Ukryte cytaty, aluzje do klasyki (kruki najwyraźniej nie lubią pewnego utworu Poe'go) tworzą świat sam w sobie; świat sam dla siebie.

<sup>2</sup> Jean Baudrillard, *Ramsès, ou la résurrection en rose* [w:] tegoż, *Simulacres et simulation*, Paris 1981, s. 24.

Jest to także bóg oszustwa. Chociaż wiadomo, że lektura-gra nie jest niewinną igraszką, czy można odejść od stolika? Cień, lubiący sztuczki z monetami, nawet w największych tarapatach nie przestaje pracować nad kolejnymi trikami. Cała fabuła okazuje się w finale podstępem, zmyślną sztuczką mającą odwrócić wzrok, uspić czujność. Odwrócić wzrok od czego? Od monety płynnie przechodzącej z ręki do ręki? Mówienie o religii za pośrednictwem środków zapożyczonych z dyskursu ekonomicznego jest wiarą na kredyt. Być może powieść pragnie odwrócić nasz wzrok właśnie od faktu, że *Amerykańscy bogowie*, tak pełni postaci, lokalizacji, dialogów, zwrotów akcji, mówią o specyficznym rodzaju pustki rodzącej się w jądrze ciemności, gdzieś na końcu języka. Pojawiający się i znikający bogowie. Co decyduje o ich porzuceniu? Sprzężone z technologiczną transcendentą przekonanie, że poza mną być nie może już żadnej boskości?

Czytanie powieści przez pryzmat aktualnych komentarzy – jakby było na nie jeszcze jakieś zapotrzebowanie – nie jest słuszne, ponieważ odziera literaturę z niewinności typowej dla ciekawskich dzieci, a te, jak wiadomo, jako jedyne wstąpią do Królestwa Bożego. Niestety, dziś to jedyna gra w mieście. *Amerykańscy bogowie* należą do nielicznych, boskich powieści, które pozwolą nam zrozumieć, że literaturę można wciąż traktować jak Księgę Mądrości Koheleeta – czego nam tak bardzo dziś potrzeba – jeśli tylko przejrzymy sztuczkę iluzjonisty.